

Brutalni, wściekli, źli

Pierwsza teoria tłumacząca postawę „Wyborczej” jest taka, że ze wszystkich sił i z całą determinacją wspiera ona polski rząd, który ubiega się o miano najlepszego sojusznika USA w Europie

T MAREK BARAŃSKI

Od lat jestem zdania, że „Gazeta Wyborcza”, to środowisko oszczędnie gospodarujące prawdą, labilne moralnie, no i niewyobrażalnie bezczelne.

Z wyjątkową ostrością ujawniają się te „przymioty” w ostatnich dniach. Do białej gorączki doprowadził redakcję GW – i to od razu dwa razy – Sojusz Lewicy Demokratycznej, który zażądał stanowiska Sejmu wobec nasilających się na Ukrainie przejawów nacjonalizmu sankcjonowanego przez władze państwowe oraz zgłosił projekt ustawy o rekompensatach finansowych dla ofiar „planu Balcerowicza”. Oczywiście gazeta ciężka artyleria wzięła na cel przede wszystkim Leszka Millera.

Stosunek „Gazety” do Rosji, Ukrainy i wydarzeń na Ukrainie jest bezgranicznie antyrosyjski. Wystarczy, że byle kto, czyj wpływ na społeczeństwo rosyjskie jest taki, jak wpływ publicystki „Wyborczej” na postawy polityczne Eskimosów, ogłosi, że jest wrogiem Putina, na łamach „Gazety” natychmiast wyrasta na herosa walki o wyrwanie Rosji z pęt

putinowskiej tyranii.

Dla „Gazety” Rosja z definicji jest złem, Ukraina wyłącznie dobrem. Rosja zagraża Polsce w każdej godzinie, a nawet minucie, Ukraina przeciwnie – kocha nas szczerze i niczego od nas nie chce. Rosyjskie zbrodnie na Polakach są piętnowane z całą zasługującą na to bezkompromisowością, ale najdziksze nawet zbrodnie, jakich na naszych rodakach dopuścili się Ukraińcy, uparcie są relatywizowane.

Kolejna cecha charakteryzująca postawę redakcji „GW” wobec wydarzeń na Ukrainie, to piętnowanie Rosji, jako jedynej odpowiedzialnej za to, do czego doszło. Bardzo być może, że tak właśnie trzeba, ale rzecz nie jest bynajmniej jednoznaczna. Jest wielu publicystów i polityków na Zachodzie, którzy wskazują na odpowiedzialność amerykańską i Unii Europejskiej. Warto o tym rozmawiać, zanim przyjmie się tak jednoznaczne stanowisko. Także o przyczynach wydarzeń na wschodzie Ukrainy – czy to bowiem

Rosjanie chcieli Ukraińców rusyfikować, czy może jednak na odwrót – Ukraińcy „ukrainić” Rosjan? Czy to Rosjanie mówili, że chcieliby wziąć do ręki „kałacha” i wybić wszystkich Ukraińców, czy może pani Tymoszenko chciała w ten sposób pozbyć się Rosjan? Czy to Rosjanie pchali się do Norfolk, czy może (z wykorzystaniem Ukraińców) Amerykanie do Sewastopola?

„Gazeta” nie zadaje takich pytań i wymaga takiej postawy od wszystkich - przymknijmy oczy, nie wracajmy do bolesnej przeszłości, bo trzeba zrozumieć, że dla Ukraińców wojna toczona przez Bandere, jest ich mitem narodowym.

Otóż tym różni się „Gazeta Wyborcza” od społeczeństwa, że ona jest na to gotowa, my nie. Może też kiedyś będziemy, ale na pewno nie w cieniu pomników Bandery. W naszych uszach minuta ciszy ku czci Szuchewycza, brzmi, jak dzwon na trwogę.

Wniosek o państwowe honory

dla Petra Diaczenki, to jak plunięcie w twarz powstańcom warszawskim z Czerniakowa i żołnierzom 1 Armii Wojska Polskiego, którzy próbowali przyjąć im z odzieczą. Nie ma na to zgody – czy to się „Gazecie” podoba czy nie. A że się nie podoba, to jasne.

Powstaje pytanie, dlaczego? Co się stało, że redaktor naczelny występujący u początków „Gazety” na jednym z balów w mundurze rosyjskiego generała, co było żartem z Rosji, ale sympatycznym, teraz pisze i każe pisać o Rosji wyłącznie toporem?

Spotkałem się z dwoma teoriami na ten temat. Co ciekawe, żadna nie traktuje poważnie zapewnień „Gazety”, że chodzi wyłącznie o obronę demokracji, prawa Ukrainy do decydowania o własnym losie, o wspieranie dobra w walce ze złem. W to nikt nie wierzy. W przeszłości „Gazeta” nie raz użyła zbyt wielu wielkich słów – nawet w rozmiarze chińskiego muru - do swych małych interesów, więc może dlatego słowa „moralność”, „prawda” i „bezinteresowność” nie należą do zbioru tych, którymi się ją opisuje.

Pierwsza teoria tłumacząca postawę „Wyborczej” jest taka, że ze wszystkich sił i z całą determinacją wspiera ona polski rząd, który ubiega się o miano najlepszego sojusznika USA w Europie. Nazywa to polską racją stanu, a polska racja stanu, to dla niej wartość najwyższa... Może - kto chce niech wierzy. W każdym razie taka „racja stanu”, która z Rosji czyni pierwszego wroga Polski, a z Polski pierwszego wroga Rosji, na pewno nie jest w naszym interesie.

Nawet gdyby USA przysposobiły nas jako 51 stan. Nasza racja stanu, to jak najgłębsza integracja z Unią Europejską i dobre stosunki z sąsiadami.

Druga teoria zaś mówi (choć ja w nią nie wierzę), że antyrosyjska linia pisma, jest osobistą zemstą redaktora naczelnego na prezydencie Rosji. Poszło podobno o to, że w trakcie jednego ze spotkań w Włodzimierzem Putinem w ramach tzw. „Klubu Władajskiego”, red. Michnik został przez prezydenta Rosji potrak-

towany zdawkowo, choć nie powinien – dopominał się przecież o wypuszczenie z łagru „sumienia Rosji”, Michaiła Chodorkowskiego, który siedział za politykę, czy za złodziejstwo – już nie pamiętam. W każdym razie Michnik porównywał potem Chodorkowskiego do Mandeli, a Putin, który go ostatecznie rzeczywiście wypuścił przed terminem, potraktował jak przestępcę, który poprosił o ułaskawienie.

Jest jasne, że te dwie teorie w sposób daleko niepełny odpowiadają na pytanie o „zoologiczną” antyrosyjskość i „ślepą miłość” ukraińską „GW”. W każdym razie Miller musiał podrażnić jakiś wyjątkowo bolesny nerw „Wyborczej”, skoro skopali go aż tak brutalnie. Co prawda jej publicyści nigdy nie wzdragali się atakować swoich przeciwników wyłącznie epitetami, ale nazwanie Millera „agentem ideologicznego wpływu Rosji w Polsce” przekracza wszelkie granice. Ciekawe jak czułyby się zespół „Wyborczej”, gdyby zaczęto mówić, że jest ona „organem partii banderowskiej” w Polsce?

Znacznie prościej jest zrozumieć drugi powód „Gazetowej” furii wymierzonej w Millera. Chodzi o projekt ustawy o rekompensatach dla ofiar „planu Balcerowicza”. Pojawił się on w momencie, gdy prawicowa większość uchwaliła ustawę o pomocy finansowej dla opozycjonistów działających w PRL.

To kolejny rachunek wystawiony Polsce przez ludzi „Solidarności”. „Gazeta” stanęła na czele oburzonych „bezczelnością” Millera i pierwsza zwyzywała go od „byłych członków Biura Politycznego” i od aparatczyków korzystających w latach 80. z przywilejów.

Trzeba mieć tupet! Przecież zanim Polska lat 80. stanęła w obliczu dramatycznej niewydolności systemu gospodarczego, to jednak był to końcowy etap 45-letniej historii, której karty zapisywał nie tylko Miller.

Gdy towarzysze stalińscy lali beton pod gmach swojej władzy Miller latał z koszulą w zębach. To nie on i nie jego matka korzy-

W 1989 roku zmieniło się niemal wszystko. Wydawało się, że wszelkie kłopoty polska ekonomia i gospodarka mają już za sobą. Tymczasem Balcerowicz zastąpił dogmat o planowej gospodarce socjalistycznej innym - receptą na uzdrowienie polskiej ekonomii jest liberalizm w skrajnej dziewiętnastowiecznej postaci.



Ekonomia socjalistyczna lansowała urawniówkę na niskim poziomie – każdy zarabiał mało, na ogół żył jednakowo skromnie, w zamian za co, państwo gwarantowało pracę i niskie ceny na podstawowe artykuły. To się długo udawało, ale w końcu system się załamał, bo nie ma takiej gospodarki na świecie, której nie napędzają dochody od ludności. Nie da się bez końca produkować drożej, a sprzedawać taniej.

stali z przywileju zamieszkiwania w pięknych mieszkaniach na Belwederskiej, na Puławskiej, Wiejskiej, jego matka nie wysyłała go do szkoły z wykładowym rosyjskim, nie on ręce po łokcie sobie urabiał, żeby przerobić polskich harcerzy na pionierów, a Polskę na mały Związek Radziecki.

Również w latach 60. nie miał nic do gadania, gdy nadal rozbudowywano przemysł ciężki, a podwyżkę cen artykułów żywnościowych rekompensowano obniżkami cen lokomotyw.

„Familia” „Gazety Wyborczej” naprawdę mogłaby się jednak trochę miarkować, gdyż to nie w Milera szafie szkielety klekocą.

Ekonomia socjalistyczna lansowała urawniówkę na niskim poziomie – każdy zarabiał mało, na ogół żył jednakowo skromnie, w zamian za co, państwo gwarantowało pracę i niskie ceny na podstawowe artykuły. To się długo udawało, ale w końcu system się załamał, bo nie ma takiej gospodarki na świecie, której nie napędzają dochody od ludności. Nie da się bez końca produkować drożej, a sprzedawać taniej. W tę kwadraturę koła zostaliśmy wpędzeni co prawda nie z własnej chęci, ale za to przez chętnych naśladowców ekonomii radzieckiej. Potem były już tylko konsekwencje, aż do „terapii szokowej” Leszka Balcerowicza. Wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki,

z dnia na dzień sklepy wypełniły się szynkami – wystarczyło tylko podnieść cenę szynki o kilkaset procent.

W 1989 roku zmieniło się niemal wszystko. Wydawało się, że wszelkie kłopoty polska ekonomia i gospodarka mają już za sobą. Tymczasem Balcerowicz zastąpił dogmat o planowej gospodarce socjalistycznej innym - receptą na uzdrowienie polskiej ekonomii jest liberalizm w skrajnej dziewiętnastowiecznej postaci.

Nikt rozsądny nie zaprzeczy, że Balcerowicz ma niewątpliwie zasługi w tym, że polska gospodarka uwolniła się od dotychczasowej księżycowości. Ale też nikt nie zaprzeczy, że transformacja pociągnęła za sobą ogromne skutki. Jej koszty bez wątpienia mogły być o wiele mniejsze. Dlatego sukces transformacji jest jednocześnie klęską milionów Polaków. Projekt SLD tylko o tym przypominał.

Reformy Balcerowicza odmieniły Polskę także w tym sensie, że jednym wymościły drogę do bajecznego bogactwa, a drugich zepchnęły na sam spód społecznej hierarchii. Państwo rzuciło w odmęt gospodarki rynkowej ludzi nieumiejących pływać i powiedziało im: radzcie sobie.

Po latach „dzieła” Balcerowicza i „Solidarności”, mimo wrzasków „Wyborczej” poddane zostało

fundamentalnej krytyce zarówno przez ekonomistów tej miary, co profesor Grzegorz Kołodko, jak i przez wybitnych ekonomistów i polityków związanych z „Solidarnością”, że wymienię tylko prof. Tadeusza Kowalika, prof. Karola Modzelewskiego (za kapitalizm nie siedziałbym ani minuty), charyzmatycznego Jacka Kuronia (spieprzyliśmy to), czy przez wybitnego intelektualistę, Marcina Króla (byliśmy głupi).

„Gazeta” woli o tym nie pamiętać. Zamiast tego pisze dyrdymały, że na transformacji ustrojowej nikt nie ucierpiał, albowiem rząd Tadeusza Mazowieckiego wyjątkowo szczerze traktował potrzeby socjalne obywateli, których zakłady pracy zostały zlikwidowane.

Na przykład wielu ludzi w pełni sił mogło przejść na wcześniejszą emeryturę...

Życzylbym redaktorom zasmakowania tego cymesu - gdzieś na prowincji, gdzie dzień podobny jest do dnia, w miasteczku, które z krańca na kraniec można przejść w pół godziny, gdzie życie beznadziejnie przecieka przez palce, a wyjechać nie ma za co.

Owszem – zwalniani dostawali odprawy i mogli z pieniędzmi robić, co chcieli... Tylko, co mogła dójka pracująca w pegeerze, kował z pegeerowskiej kuźni, lub

szwaczka, która pół życia szyla jeden ścieg? Zapisać się do „inkubatora biznesu”, założyć własną firmę? Pieniądże szybko się skończyły i do dziś całe rodziny żyją ze zbierania grzybów, jagód, z prac sezonowych przy zbieraniu truskawek, ze sprzątania po domach. Nie ma co - fantastyczna kariera, wspaniały rozwój zawodowy, który setkom tysięcy obywateli zafundował pan Balcerowicz i jego kompania. Poza tym, skoro jest tak wspaniale, to z jakiego powodu prawie trzy miliony młodych Polaków szuka chleba za granicą?

Dlaczego więc „Wyborcza” tyle lat, z takim zapamiętaniem i determinacją broni Balcerowicza? Moim zdaniem ma wobec niego dług wdzięczności.

Pisał o tym i mówił Ryszard Bugaj, a więc ktoś, kogo w najmniejszym stopniu nie można posądzać o sympatie eseldowskie, wręcz przeciwnie. Można wiele mieć mu za złe, ale to jednak jest ideowiec, który trwa przy swoich zasadach bez względu na okoliczności.

Opisał on jak elita „Gazety Wyborczej” się uwłaszczyła. Otóż na starcie przedsięwzięcia pod nazwą „Gazeta Wyborcza” około 100 wiodących postaci Agory otrzymało majątek w akcjach wart około 1 mld zł. No, ale, żeby te pieniądze mieć w ręku, trzeba było

potem akcje sprzedać.

Sprzedając trzeba było zapłacić podatek. I w tym momencie jak z nieba spadł im projekt zmian w ustawie o podatkach, którego autorem było ministerstwo finansów. Dowodził nim wówczas, minister i wicepremier w jednym, Leszek Balcerowicz. Projekt pozwalał uniknąć podatku od dochodu ze sprzedaży akcji, nabytych wcześniej w obrocie niepublicznym. W praktyce z tej dobroci ministerstwa mogła skorzystać stosunkowo niewielka grupa, ale w której mieścili się ludzie „Gazety”. Oszacowano wtedy, że oszczędności tych szczęśliwców mogły sięgnąć nawet 600 mln. złotych. Pamiętam notatkę z „Rzeczpospolitej” o zamiarze sprzedania akcji Agory przez jedną z pierwszoplanowych postaci „Gazety Wyborczej”. O ile się nie mylę podano wówczas, że wartość rzeczonych akcji wynosi 80 mln. złotych.

Czy nie jest to powód do ciepłej pamięci o prof. Balcerowiczu i wystarczająca motywacja, żeby w jego obronie skoczyć do gardła każdemu, kto kwestionuje „terapię szokową”?

PS. Cały artykuł Ryszarda Bugaja można przeczytać pod linkiem <http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/87132,jak-uwlaszczali-sie-ludzie-wyborczej.htm>